№ 32. Warszawa, dnia 8 Sierpnia (27 Lipca) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Pewnego razu Grzegorz wrócił wieczorem jakiś nieswój. Narzekał, że go w krzyżu boli, że go w piersi kluje. Położył się więc dnia tego wcześniej na spoczynek, nawet Owanesa nie pytał, co robił, i nie kazał mu czytać głośno. Jakubowej zaś prosił, by mu kwiatu lipowego zgotowała. Na wszystkie choroby zawsze używał kwiatu lipowego, ten mu pomagał zawsze jednakowo, skutecznie. Tym razem jednak i kwiat lipowy, lubo sprowadził poty obfite, ale gorączki i kłócia nie złagodził. Stękał więc stary noc całą, a na rano już podnieść się nie mógł. Pan Kajetan dowiedziawszy się o chorobie swojego ulubionego klucznika, wielce się tem zmartwił, przyszedł osobiści do Grzegorzowej chaty, wypytał się o symptomaty cierpienia, a pocieszywszy starego oficyalistę, i pogłaskawszy małego Owanesa, co siedząc przy łóżku wpatrywał się ze smutkiem w ojca, posłał natychmiast po lekarza.

Żadne jednak leki nie pomogły; kłócie nie ustępowało ani na chwilę, owszem zwiększało się coraz bardziej. Stary Ohana jęczał, modląc się po cichu, i dopytując ciągle na wpół nieprzytomny, o chłopca swego.

Tydzień cały ciągnęły się cierpienia i bóle, których ostatecznie klucznik nie przetrzymał, gdyż umarł. Pochowali go na Wysokim cmentarzu pomiędzy mołdawskimi chłopami; był biedny, więc nie było za co wieźć go do Bielc, gdzie znajdował się kościół parafialny, albo do Mohilowa podolskiego.

Owanes miał już wtedy lat dziesięć, choć wyglądał na więcej; umiał pisać, czytać i rachować. Ojciec nie pozostawił po sobie nic, oprócz dobrego imienia, zacnej pamięci, dwustu rubli złożonych w kasie dziedzica i trochę ubogich sprzętów. Co było robić z chłopakiem? Chciano go odesłać do Kut, wspólnego gniazda prawie wszystkich Ormian bessarabskich, żyła tam bowiem jakaś stara siostra zmarłego, na którą z porządku rzeczy spadała opieka nad dzieckiem. Już wszystko było ułożone, chłopak nawet powoli się przyzwyczajał do myśli opuszczenia przybranej ojczyzny, gdy nagle nastąpiła zmiana. Oto stary pan Bohdanowicz widząc, że chłopak jest pilny i zdolny, a choć jeszcze dziecko, to jednak może się wyrobić, postanowił osobiście się nim zaopiekować.

Kazał zawołać malca do kancelaryi a pogłaskawszy go po czarnej czuprynie, zapytał:

— No, jakże będzie, mój chłopcze? Chcesz jechać do Kut do ciotki, czy wolisz tu pozostać?

Chłopiec mnąc czapeczkę sukienną w ręku, bystro spojrzał na pana Kajetana, i raźno odpowiedział:

— Ciotki nie znam, Kut nie widziałem, wolę tu już pozostać.

— A cóż u nas robić będziesz? Widzisz, wszyscy tu pracujemy: ja siedzę w kancelaryi i piszę, pan rządca jeździ konno i z ludźmi się w polu ujada, pan ekonom kłóci się z parobkami, ojciec twój ważył zboże i odstawiał je do Mohilowa, widzisz, każdy z nas coś robi, nawet mój Stefek i moja Helcia uczą się z guwernantką.

Uszczypnął go delikatnie za ucho wedle zwyczaju, powtarzając:

— I cóż ty będziesz robił? Cóż ty umiesz robić?

— Ja, ja wszystko umiem!

Stary spojrzał na niego z uśmiechem.

— Jakto wszystko, i naprawdę wszystko, powiedzże mi, jak to wygląda owo wszystko?

— No, umiem czytać, pisać, rachować, kłócić się z lackunami, rumakami, parobków napędzać do roboty.

— Ho, ho, ho... jakbyś ty ich napędzać zaczął, to oni by ci rozumu do głowy wnet napędzili. Już ty się w to nie wdawaj, zostaw lepiej ekonomowi. Ty będziesz pisał tu w kancelaryi.

— No będziesz tu pisał, przy tym stole — dodał śmiejąc się dobrodusznie i wskazując malcowi na duży stół, stojący naprzeciwko biurka i założony rejestrami gospodarczemi.

— Dobrze?

— Dobrze!

— Tylko się wpierw naucz pisać w tych księgach, bo to nie każdy potrafi.

— Ale ja potrafię — zawołał śmiało Owanes, — ja i po ormiańsku umiem pisać, a to nie każdy umie.

Pan Kajetan nie mógł się powstrzymać od śmiechu, bawiła go ta naiwna rzutność chłopczyka. Poklepał go po ramieniu, i zawołał:

— To z ciebie będzie taki sam Ormianin zakuty, jak z twego ojca.

— Tak, panie, taki sam!

— Dobrze zatem. Zostań sobie zaciekłym hajem jak twój ojciec, lecz pamiętaj, żebyś był równie uczciwym jak i on. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Jesteś więc odtąd moim pomocnikiem, moim małym palcem. Siadaj oto przy tym stole, dam ci zaraz robotę, zobaczę, na co się zdać możesz.

I rozłożył przed nim księgę raportową, do której kazał mu wkopiować jakiś papier urzędowy.

Tym sposobem mały Ohana został pasowany na pisarczyka prowentowego.

Z początku było mu cokolwiek trudno zżyć się z tem mechanicznem pisaniem, do którego przykuli jego pełną życia naturę, lecz wkrótce

przyzwyczaił się i nie czuł tej niewoli biurokratycznej.

Pan Kajetan był z niego zadowolony, podobał mu się ten żywy chłopak o rysach inteligentnych, a oczach sprytnych. Po upływie kilku miesięcy mógł już na niego złożyć wszelkie przepisywanie, wszelkie kopiowanie, Owanes bowiem odrabiał każdą pracę czysto i wyraźnie.

Kiedy nie było nic do pisania, pryncypał puszczał go na wolność, pozwalając mu się bawić ze swym Stefkiem, który był rówieśnikiem jego. Nie od razu przylgnął sierota do tego nowego towarzystwa, wolał nawet pana i panią, bo przy nich mu było raźniej, aniżeli przy paniczu i panience, którzy go onieśmielali.

Za panienką chodziła cały dzień boży jakaś wykrygowana guwernantka, wiecznie ją strofująca o byle co, widocznie tak już przyzwyczaiła się do tej gadaniny nudnej. A z paniczem spacerował guwerner, człowiek poważny i miły. Guwernantki, która go zjadliwie przeszywała oczyma, uważając za coś bardzo marnego, za zwyczajnego łobuza folwarcznego, Owanes nie lubił; gniewała go ta skrzywiona panna ze swoim ciągle poirytowanem obliczem. Unikał jej i zbliżał się do małej Helci, żwawej, figlarnej dziewczynki, kiedy panna szła do dworu na pogawędkę z panią starszą. Natenczas przybiegał i Stefek, mały, niepozorny chłopak o burych oczach i nieregularnych rysach, w których się wyraźnie przesuwał cień jakiś nieokreślonej złośliwości, i bawiono się we trójkę. Stary nauczyciel urządzał sobie wtedy drzemkę w altanie, udając, że jest zajęty czytaniem jakiej książki. Byli sami, swobodni, bawili się też wesoło.

Owanesa onieśmielał złośliwy uśmiech niepozornego Stefka, który go traktował cokolwiek z góry, jak nierównego sobie, a chłopak chociaż mały, był już o tyle ambitny, że rozumiał swoje upośledzenie społeczne. Za to Helcia była dlań istotną przyjaciółką i opiekunką, sama go zapraszała do gry, sama mu proponowała bieganie i gonienie się po ogrodzie. Lubił ją też sierota i lgnął do niej, zwłaszcza, iż nieraz słyszał, jak strofowała brata za każde ostre słowo, wszelką małą krzywdę wyrządzoną mu.

Ale wiek dziecinny nie zna jeszcze tej różnicy stanu, położenia majątkowego, pozycyi, które taką rolę grają w wieku późniejszym. W dziecinnych duszach szczerych i naiwnych nie ma jeszcze wyrobionych tych przesądów, tych zasad fałszywych, które w wieku starszym życie i jego stosunki wypisują na sercu.

Ztąd też nic dziwnego, że wesołość i szczerość Owanesa musiała się podobać i zgryźliwemu Stefkowi, tak że i on przywykł do swego towarzysza, i wciągał się w jego sposób myślenia. Nieraz obaj chłopcy siadali sobie na murawie przed dworem, i gawędzili o różnych rzeczach wesoło; wówczas przybiegała Helcia i łączyła się do ich rozmowy. Owanes opowiadał im powiastki ormiańskie, podania, które od nieboszczyka ojca był słyszał.

Pan Kajetan widząc pracowite jego usposobienie, bo Owanes jeżeli nie pisał w kancelaryi, to czytał jakąś książkę, którą mu Helcia pożyczyła, albo też przysłuchiwał się raportom rządcy, postanowił przeto chłopca wykierować na coś lepszego aniżeli na przepisywacza dworskich rachunków. Kazał więc Owanesa pewnego razu wyegzaminować panu Nahorskiemu i skoro ten, człowiek poczciwy i zacny, powiedział, że ma zdolności, że musi wyjść na coś w przyszłości pożytecznego, polecił mu go na towarzysza szkolnego dla Stefka.

Odtąd obaj chłopcy uczyli się razem, mieszkali razem, bawili się razem, tylko wieczór wołał pan Kajetan chłopaka do kancelaryi i dawał do roboty przepisywanie jakie. Owanes korzystał z nauki, zdawało się że pochłaniał ją, poił się nią, ztąd nic dziwnego, że po upływie roku nie tylko zrównał się ze Stefkiem, ale go nawet prześcignął.

Stefka ta pilność gniewała, bo pan Nahorski nieraz stawiał mu go za przykład do naśladowania.

— Widzisz — mawiał, — Owanes nic nie umiał, a teraz prześciga cię. Ucz się, mój chłopcze, bo się będę musiał wstydzić za ciebie.

Na to Stefek ponuro spoglądał na towarzysza, piszącego spokojnie wypracowanie jakieś, i mruczał pod nosem:

— Ja tam się tak nie potrzebuję uczyć. On, to co innego, on musi.

— A cóż to znowu, któż cię tak rozumować nauczył. Widzisz przecie, że tylko inteligentni i wykształceni ludzie, ci co szkoły pokończyli, znaczą coś na świecie, i są szanowani.

— Czy to prawda? Tatko szkół nie skończył i stryjek, i wujek także, a są panami.

Nauczyciel wykrzyczał chłopca, lecz nie wiele to pomogło, złośliwy malec dosyć miał sprytu obserwacyjnego, by się dać zbić z tropu. Uczył się, bo go pilnowano, bo mu ojciec groził, że go z domu wyrzuci, i świnie paść każe, bo mu wiecznie stawiano jako przykład starszego brata, kończącego politechnikę w Wiedniu i Owanesa, ustawicznie zajętego pisaniem lub czytaniem.

Najchętniej jednak rzuciłby do licha te książki i zeszyty, gdyby mu pozwolili; nic go nie ciągnęło do nauki, wolał w godzinach wolnych jeździć konno, włóczyć się po stajniach i po tokach. Tam go zawsze znaleźć było można rozmawiającego z fornalami i parobkami. Nauczyciel rady sobie z chłopcem dać nie mógł, a widząc, że Stefek się opuszcza, a nawet słuchać przestaje i odpowiada krnąbrnie, doradził ojcu, by go do szkół publicznych oddał.

Matka, która chłopca szalenie kochała, oponowała, wstawiała się za nim, pragnęła go zatrzymać przy sobie razem z Helcią. Mówiła, że bez Stefka żyćby nie potrafiła, że umrze, skoro go jej zabiorą.

Ale mąż, jakkolwiek mocno kochający dzieci i żonę, nie chciał ustąpić, i pomimo płaczów i żalów postanowił nieodwołalnie chłopaka wywieźć do Czerniowic, gdzie miał go posyłać do gimnazyum.

— Ażeby mu się nie nudziło — dodał, — żeby nie tyle tęsknił w początkach, wyślę z nim razem Owanesa. To będzie bardzo dobrze, ten mały haj uczy się świetnie, stanie się więc przykładem dla tego nicponia.

Za dwa miesiące przeto mieli chłopcy wyjechać ze starym nauczycielem, którego pan Bohdanowicz prosił o umieszczenie nygusów w szkołach.

Owanesowi, skoro się dowiedział o swym losie, zrobiło się jednocześnie miło lecz zarazem markotno. Rozumiał on dobrze, że te Czerniowce mogły stać się dla niego początkiem lepszej doli, prawie szczęściem, tyle razy bowiem słyszał od pana Nahorskiego, iż tylko nauka, szkoły, wykształcenie dają człowiekowi swobodę i lepszy los na świecie. I radował się, że nie będzie podobny do tych oficyalistów, brudnych, biednych, cały dzień pracujących dla marnego kawałka chleba i cieszył się, że wyjdzie na pana — ta myśl mu wreszcie zaświtała w głowie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Luźne kartki z Węgier.

(Ciąg dalszy)

V.

Życie umysłowe Węgrów.

Jak wszystkie narody barbarzyńskie, które się podzieliły spuścizną po cesarstwie rzymskiem, wnieśli i Madziarowie do swojej nowej ojczyzny wiązankę legend i pieśni rycerskich. Z tą prastarą, pierwotną literaturą ludu arpadowego zlały się legendy i pieśni plemion miejscowych i pokrewnych Ugrom Hunnów.

Już w nowej ojczyznie powstał cykl legend, których przedmiotem jest zdobycie kraju.

Almos, ojciec Arpada, Arpad i jego podkomendni są głównemi postaciami najstarszej poezyi węgierskiej. Wszystkie te pierwiastki muzy madziarskiej zwiędły z czasem, pokruszyły się, i znikły zupełnie. Pamięć o nich przetrwała tylko w kronikach łacińskich, spisanych później, głównie w kronice bezimiennego notaryusza króla Beli.

Pierwsze zetknięcie się z rzeczywistą Europą, około roku 1000 po Chrystusie, zawdzięczają Madziarowie swojemu genialnemu i świętemu królowi Stefanowi. On ochrzcił dzikie dzieci stepów, pobudował dla nich kościoły, klasztory, zamki, wygodniejsze domy, i sprowadził do kraju kapłanów włoskich.

Jego też nazwisko świeci na czele literatury węgierskiej. Po łacinie napisane „Rady króla Stefana dla syna Emeryka” należą do najdawniejszych pomników piśmienniczych Madziarów. Najstarszym dokumentem literackim, napisanym w języku węgierskim, jest jakaś mowa pogrzebowa.

Jak wszystkie ludy, które weszły później do cywilizacyi chrześciańskiej, wzorowali się i Madziarowie na Europie zachodniej. Aż do XV stulecia składa się ich literatura z przekładów Pisma św., kazań, mów pogrzebowych, modlitw, pieśni kościelnych. Stare legendy, usunięte przez duchownych, kołatały się tu i owdzie w prowincyach, oddalonych od stolicy, wśród ludu.

Na granicy dwóch epok, średniowiecznej i nowej, wznosi się jasna postać wielkiego króla, który usiłował dopełnić dzieło św. Stefana. Maciej Hunyady, zwany ojcem narodu, zarówno wielki żołnierz jak mąż stanu, pamiętał także o rozwoju umysłowym swojego ludu. Otoczył się on uczonymi i artystami Włoch i Francyi, budował kościoły, pałace, zakładał szkoły, biblioteki. Jego *Corvina* (biblioteka), składająca się z 60,000 rękopisów, miała rozgłos europejski. Skupował on tyle ksiąg, że gdy umarł, spadła nagle ich cena na wszystkich rynkach włoskich, niemieckich i francuzkich. On też wprowadził pierwszy do Węgier (w roku 1472) sztukę dru-

karską, wyprzedzając pod tym względem Anglią, Austryą, Holandyą i Hiszpanią.

Ale panowanie króla Macieja było tylko krótkim, jasnym błyskiem na ponurem, krwawem tle dziejów węgierskich. Zaraz po nim nastała długa epoka ciągłych wojen, które zniszczyły prawie doszczętnie dzieła pokoju.

Turcy i Niemcy burzyli na przemiany kościoły, zamki i pałace, rozbierali biblioteki, zamykali szkoły, usiłowali, słowem, zatrzeć wszystkie ślady świetnej epoki króla Macieja, co im się też w zupełności udało.

Ruch umysłowy Węgier przebudził się znów dopiero w sto lat po śmierci wielkiego monarchy, za przyczyną kaznodziejów protestanckich, którzy rzucili się gromadnie na ziemię św. Stefana.

Nowinkarze zjednawszy sobie garść możnych panów, zalali kraj powodzią pism polemicznych, przekładali Pismo św., zakładali zbory, szkoły, szkółki, mówili i pisali dużo, posługując się językiem węgierskim. Przekonali oni w krótkim czasie prawie całą arystokracyę, i byliby zburzyli niezawodnie dzieło św. Stefana, gdyby na drodze ich nie stanął Piotr Pazmany, kardynał i arcybiskup Granu. Utalentowany mówca i pisarz, pierwszorzędny polemista podjął Pazmany rękawicę, rzuconą katolicyzmowi przez protestantów i prowadził walkę tak umiejętnie i wytrwale, że odebrał nowinkarzom nasamprzód arystokracyę, a następnie mniejszą szlachtę. Jak protestanci, mówił i pisał Pazmany także tylko po węgiersku, aby oddziaływać na wielkie masy. A mówił i pisał jędrnie, obrazowo, nie przebierając zbytecznie, zwyczajem owych czasów, w słowach i określeniach, cięty, dowcipny, po węgiersku gruby, do naszego Reja podobny. On to założył w roku 1635 w Tyrnawie Akademię, z której powstał później uniwersytet peszteński. Jemu też i jego uczniom zawdzięczają Węgry znakomity przekład Pisma świętego, wykończony przez Jerzego Haldi'ego. Pobity przez Pazmany'ego protestantyzm, schronił się do Siedmiogrodu, gdzie utrzymał się do naszych czasów. Współcześni liberalni magnaci węgierscy z prezesem ministrów, bar. Banffym na czele, pochodzą głównie z owych dyssydentów siedmiogrodzkich.

Z otoczenia Pazmany'ego wyszedł najznakomitszy Węgier siedmnastego stulecia, zarówno wielki wojownik, jak statysta i poeta. Imię hr. Mikołaja Zrinyi'ego, bana Chorwacyi, zna nietylko jego kraj rodzinny.

Jest to postać historyczna w dużym stylu. Chociaż przepędził prawie całe życie w obozie, miał jeszcze czas do rozległych studyów naukowych i literackich. Pisał on dzieła polityczne, wojskowe i artystyczne. Jego „*Obsidio Szigetiana*” jest najlepszą epopeą narodu węgierskiego. Na wskroś narodowy, madziarski, doczekał się ten poemat dopiero w 150 lat po śmierci autora, w początkach bieżącego stulecia, należnego mu uznania. Palmę zwycięztwa przysądził wiek XVII innemu poecie, Stefanowi Gyöngyösi'emu, który schlebiał upodobaniom swojego czasu.

Gyöngyösi śpiewał miłość, a wiadomo, że miłość może liczyć zawsze na powodzenie. Mężkiego, duchem obywatelskim przesiąkłego Zrinyi'ego ocenili dopiero potomni.

Po Zrinyi'm nastaje znów na ziemi węgierskiej dłuższe milczenie. Kraj szarpany walką stronnictw, traktowany po macoszemu przez swoich panów, podawany z rąk do rąk, zaniedbał zupełnie życie umysłowe. Wiek XVIII nie uczynił nic dla narodowej literatury Madziarów. Nowy ruch powstał dopiero przy końcu XVIII stulecia, a spowodowała go gromadka młodych ludzi, którzy służyli w Wiedniu, w przybocznej gwardyi cesarskiej. Jerzy Bessenyey, tej gromadki moralny przywódca, przypatrzywszy się zblizka w Wiedniu cywilizacyi europejskiej, i porównawszy tę cywilizacyę ze stanem umysłowym swojego kraju, postanowił rozbudzić Węgrów z uśpienia. Wykształcony na wzorach francuzkich owego czasu, gorący wielbiciel Woltera, zapoznał Bessenyey naród swój z nauką i literaturą Zachodu. Napisał on mnóstwo dzieł treści historycznej, filozoficznej i kilka utworów artystycznych. Pomagali mu z zapałem młodości Aleksander Baroczi i Józef Teczeli.

Ruch rozpoczęty przez Bessennyey'a nie ustaje odtąd ani na chwilę. Madziarowie zmiarkowawszy, że ich Europa wyprzedziła o całe sto lat, pędzą w bieżącem stuleciu galopem, aby się zrównać z cywilizacyą Zachodu, do której należą tradycyami i upodobaniami. Żaden wiek nie wydał na różnych polach tylu znakomitych Węgrów, ile bieżący.

Twórcą nowych t. zw. młodych Węgier, które się przedstawiły Europie na obecnej wystawie, jest wielki obywatel i organizator hr. Stefan Szechenyi. Jemu zawdzięczają potomkowie ludu arpadowego prawie wszystkie instytucye publiczne, naukowe, ekonomiczne, artystyczne, on postanowił dźwignąć naród swój z upadku środkami pokoju i dokonał w znacznej części, co sobie wykreślił. Działał on nietylko radą i wskazówkami, lecz także czynem. Nie szczędził pieniędzy, gdy ich było potrzeba do założenia jakiej instytucyi, wspierał ubogich studentów, wydawał własnym kosztem książki i t. d., zachęcał przykładem swoim innych magnatów. „Nie skarżmy się na smutną przeszłość — napominał ciągle — lecz pracujmy dla przyszłości.”

W chwili, kiedy hr. Szechenyi pracował dla przyszłości jako działacz praktyczny, wróciła literatura do przeszłości, ale nie dlatego, żeby nad nią lamentować, lecz żeby przypomnieć narodowi jej strony dodatnie.

Trzech powieściopisarzów historycznych rozpoczyna najnowszą dobę literatury węgierskiej. Przodem idzie baron Mikołaj Josika, tak płodny, jak stary Dumas, taki doskonały znawca przeszłości madziarskiej, jak Walter Scott szkockiej. I Walter Scottem węgierskim nazywają go historycy literatury. Napisał on 130 tomów, w których odtworzył dzieje i obyczaje całego szerego rodów, złączonych ściśle z dziejami narodu. Obok niego stanęło dwóch innych panów z krwi madziarskiej, baron Zygmunt Kemeny i baron Józef Eötwös, późniejszy minister oświaty. Trójca ta nauczyła Węgrów czytać po węgiersku.

Nazwiska Pötöfiego, którego lutnia rozgrzała Węgrów do czynu śmiałego, i Maurycego Jokaya są powszechnie znane.

Geniuszów pierwszorzędnych, którzyby należeli do literatury powszechnej, rasa madziarska nie wydała. Z plemienia tego wykwitły tylko duże talenty narodowe.

Duch narodowy, patryotyczny, obywatelski unosi się ciągle nad literaturą węgierską. Pisarze węgierscy byli po wszystkie czasy, nawet wtedy, kiedy się spierali o dogmaty religijne, przedewszystkiem obywatelami węgierskimi. Upierając się przy tej lub owej wierze, czynili to dlatego, bo sądzili, że ta lub owa wiara będzie lepiej narodowi służyła.

Ten rys znamienny literatury węgierskiej tłómaczy wyjątkowe położenie narodu, podawanego z rąk do rąk przez całe wieki.

T. J. Choiński.

O kursach handlowych dla kobiet.

Zapowiadając w zeszłym miesiącu szereg artykułów dotyczących pracy kobiecej, mieliśmy na myśli zarówno powiadamianie o wszelkich otwierających się nowych polach pracy dla kobiet, jak i o powstawaniu przygotowawczych zakładów naukowych, które sposobiąc do zawodów i professyj określonych, robić mają z kobiety aspirantki po sto razy odrzuconej kandydatkę seryo, świadomą kwalifikacyj, które ze sobą przynosi — kandydatkę uzdolnioną, a tem samem pożądaną.

Do tej pory kobieta poszukująca dla siebie bytu w handlu czy przemyśle załatwiała się z całem fachowem przygotowaniem swojem w myśl udzielonej instrukcyi nader summarycznie. Jakieś poprawienie charakteru pisma, jakieś trzydzieści lub czterdzieści godzin poświęconych rachunkowości handlowej i objaśnieniom systemu prowadzenia ksiąg, stanowiły dotąd cały zasób, z jakim kandydatka przystępowała do ubiegania się o posadę buchalterki.

Nie mogło to oczywiście wobec konkurencyi ze strony gruntowniej przygotowanych doprowadzić do pożądanego rezultatu, i w większej części wypadków nie doprowadzało wcale. Powierzchowne obznajmienie się z metodą rachunkowości podwójnej, bez praktyki, bez podstawowych wiadomości handlowych, bez zrozumienia ducha przedsiebiorstwa, dawało zawsze pracownicę nieudolną, potrzebującą przez długi czas każdochwilowego prowadzenia za rękę, a to wszystko opłaciłby się mogło chlebodawcy w razie małych wymagań i gdyby praca, wytrwałość i rozgarnięcie kandydatki nie pozostawiały nic do życzenia.

Ztąd wielce oziębłe traktowanie w handlu i przemyśle kandydatur kobiecych — ztąd ich minimalne wynagrodzenia — ztąd mimo dziennikarskiego otrębywania sukcesów kobiecych w karyerze handlowej, tyle zawiedzionych i wyczekujących daremnie. Idea przyjścia w pomoc kobiecie potrzebującej, i chcącej pracować nie bywa wogóle braną w rachunek przez pracodawców, a jeśli gdzie o ideach cośkolwiek jeszcze chcą słyszeć i wiedzieć, to z pewnością nie w tej gałęzi pracy, o której mówimy.

Kto tedy widzi zwiększający się z dnia na dzień zastęp kobiet poszukujących bytu, kto pojmuje, że wzrastający stale w kraju naszym przemysł fabryczny i handlowy, mógłby jakiejś części tych spragnionych pracy zapewnić egzystencyą niezależną, a nadto kto rozumie, że dotychczas brak fachowego przygotowania kobiety stanowił dla niej przeszkodę kardynalną, ten z największą pewnością uzna za bardzo pożądaną wiadomość o otwierających się pod przewodnictwem p. Józefy Siemiradzkiej kursach handlowych dla kobiet. Tym razem nie jest to obietnica ani nadzieja żadna — tym razem zapowie-

dzieć możemy otwarcie kursów z początkiem nadchodzącego roku szkolnego na pewno, a zarazem podzielić się z czytelniczkami warunkami, pod jakimi kandydatka przyjętą być może—programem przedmiotów wykładanych i prerogatywami, jakie kończąca kurs całkowity nauk zdobyć będzie mogła.

Ten kurs jest 2-u letni. Kandydatka pragnąca wstąpić do tej szkoły złożyć winna świadectwo z ukończonego średniego zakładu naukowego rządowego lub prywatnego (klassy 4), albo poddać się odpowiedniemu egzaminowi.

Przedmioty wykładane w ciągu lat 2-ch są: Rachunkowość handlowa — Buchalterya — Korespondencya handlowa w językach: polskim, rossyjskim, niemieckim i francuzkim — Języki niemiecki i francuzki — (angielski za osobną dopłatą) — Geografia handlowa — Towaroznawstwo wraz z kursem chemii elementarnej — Ekonomia polityczna — Prawo handlowe — Kaligrafia. W rozwinięciu instytucyi przewidziane jest wprowadzenie przedmiotów i wiadomości dodatkowych takich jak stenografia, użytkowanie z maszyny piszącej i inne.

Wpis szkolny wynosi rubli 100; opłacają go uczennice w dwóch ratach. Po ukończeniu kursów i odpowiednim egzaminie słuchaczki otrzymają świadectwo od rady pedagogicznej kursów handlowych żeńskich.

Mogą być przypuszczane do wykładów osoby życzące sobie korzystać z wykładu jednego lub kilku przedmiotów, te wszakże o atestaty ubiegać się nie będą mogły.

Niezależnie od kursu handlowego dwuletniego, którego program naukowy streściliśmy powyżej, otwiera p. Siemiradzka kurs handlowy niższy, na który wstępować mogą kandydatki z wykształceniem naukowem elementarnem. Przedmioty wykładane tutaj będą: Buchalterya — Arytmetyka — Języki francuzki i niemiecki. Lekcye odbywać się będą w dni powszednie wieczorem 2 lub 3 razy tygodniowo, w niedziele i święta w godzinach rannych. Opłata 3 ruble miesięcznie za korzystanie ze wszystkich przedmiotów wykładanych; 1 lub 2 ruble za słuchanie przedmiotu wybranego.

Informacye bliższe udzielane bywają obecnie w Czytelni powszechnej, Mazowiecka numer 11.

Tak się przedstawia w zarysie wykład nauk, mających przygotować u nas kobietę do zawodu handlowego. Nie powinny się kandydatki łudzić, że im program w ciągu tego dwulecia pozwoli pochłonąć wszelkie wiadomości do obranej profesyi potrzebne, ani tego nawet wyobrażać sobie nie mogą, żeby te kursa równały się programem ze szkołą handlową męzką, istniejącą w Warszawie. Przeciwnie — nie dorównywają im one zupełnie, ale bądź co-bądź wyjść z nich powinna kobieta do pewnego stopnia wtajemniczoną w nieodbicie potrzebne wiadomości handlowe, i w miarę dołożonej pracy, uzdolnioną do zajęcia w tym zawodzie stanowisk początkujących.

Taka też a nie inna przegląda z programu intencya założycielki, której trafności w nakreśleniu zakresu odmówić niepodobna — która dobrze rozumiała, że nie akademią ale szkołą handlową przygotowawczą społeczności swojej kobiecej przysłużyć się zamierza.

To samo daje się powiedzieć i o tym niższym kursie także, którego zadaniem będzie przysposabianie dobrych sklepowych i pracowniczek niższych. Przeznaczony jest ten kurs najwyraźniej dla kobiet już zarobkujących, a o zdobyciu dla takich potrzebnego na naukę czasu w dniu roboczym, będzie się można z panami pracodawcami potargować jeszcze. Ci zaś o tyle o ile własny interes rozumieć będą, opierać się tym ustępstwom chyba nie powinni. Zresztą — zobaczymy.

Tyle o kursach p. Siemiradzkiej i o spodziewanych korzyściach, jakie z nich ogół osiągnąć może, jeśli zwłaszcza wykonanie założeniu odpowie. Słówko tylko jeszcze pozostaje nam do powiedzenia o wyborze samym tego powołania przez kobietę, która pod wpływem konieczności, ten a nie inny sposób zarobkowania obrać dla siebie pragnie.

Dalecy jesteśmy od idealizowania procederu kupieckiego, handlowego czy przemysłowego, ale wogóle nie dobrze jest w tem, jak w każdem innem zajęciu, gdy się do niego idzie z musu — wbrew przekonaniu — faute de mieux, jak powiadają Francuzi. Kto się chce na tę drogę rzucić, nie powinien handlu lekceważyć, nienawidzieć — tem mniej żywić dla tego stanu czegoś w rodzaju pogardy.

Robimy tę uwagę z całym rozmysłem, bo znamy, o ile się zdaje, społeczność swoją, i wiemy, że o uznaniu tutaj wogóle, a między kobietami z pewnością najmniej, mowy być nie może. Niechajże ta, która się tymi wszystkimi wstrętami odznacza, poszuka dla siebie czego innego; niech się weźmie do nauki, sztuki, zawodu nauczycielskiego — byle nie do fachu, który jej wprost jest przeciwnym, lub nienawistnym. Dużo zapewnie w naszej Wiśle upłynie wody, zanim profesya kupiecka zostanie w uznaniu umysłów młodych zrównana z innymi zawodami i powołaniami. Tak jak dziś stoją te sprawy, pożądanem byłoby, zdaniem naszem, aby na drogę handlową szły w pierwszej linii żywioły miejskie, najbliższe temu zajęciu, najbardziej z niem spoufalone — wreszcie posiadające jakieś niezbędne, a u nas możliwe, maksimum nerwu kupieckiego.

Jakkolwiek nie wytworzyliśmy u siebie dotąd swojskiego handlu czy kupiectwa, nie zapominajmy, że są narody, mające ten stan wyrobiony, udoskonalony, podniesiony moralnie, używający przywilejów i posiadający tradycye. Zanim on tam doszedł do tego, czem jest dzisiaj, musiały go przez długie pokolenia uprawiać żywioły zamiłowane w nim, łączące ten zawód z szeregiem całym przodków, którzy się w nim rodzili i umierali. Nie chcemy powiedzieć, że kupcem trzeba się urodzić, bo to byłoby trochę zawiele, ale faktem jest, że trzeba być na kupca wychowywanym.

Nie możemy także zapomnieć zdania usłyszanego niegdyś od jednego z przemysłowców naszych nb. przemysłowca z przypadku — z konieczności, a wcale nie z rutyny, fachowego uzdolnienia, ani pociągu wrodzonego. Powiodło mu się na tej drodze, doszedł do majątku znacznego, ale w gronie ludzi, z którymi był szczery zupełnie, mówił o sobie zawsze jako o dyletancie tylko.

— Mówcie wy sobie co chcecie — odzywał się nieraz ten człowiek, — a ja wam powiadam, że wielkim u mnie brakiem jest to, że ja w dzieciństwie nie ważyłem pieprzu na łuty. Bez tego nie jest się kupcem nigdy.

Nie sądzimy, aby w tej sprawie mogły być dwie miary: jedna dla mężczyzny — druga dla kobiety.

T. M.

St. Aziel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Przyszła jednak, bo wiodła ją tu zawsze moc przyzwyczajenia, prowadziło serce, które ochłonąwszy z bólu i oburzenia, przebaczyło; a choć całą swą tkliwość, ofiarność i potrzebę kochania zwróciła w inną stronę, tu wszakże mimo postradanych złudzeń zachowała życzliwość, płynącą z własnej gołębiej dobroci.

Gdy poczęła rozmawiać z Adą, nieco na uboczu, na twarzy jej, znacznie w liniach zaostrzonej, być może też z nadmiaru pracy, odbiło się jednak wielkie pomieszanie i niepokój.

— Wyjeżdżasz tak nagle... nic w tem złego, przypuszczam — mówiła, — ale czemuś mi nie wspomniała o tem wcześniej, tydzień temu!... Ach, gdybym była wiedziała tydzień temu!

Ada nie zauważyła bólu, trwogi, czy wyrzutu, jakie brzmiały w jej głosie i widniały w rysach; zresztą wszystko to jak zwykle, odnosiła do siebie, więc wzruszenie jej przypisała żalowi nad rozstaniem.

I rzuciwszy swoje ulubione „to trudno,” które doskonale wskazywało, jak bez walki pozwalała się zagarniać fali wypadków i okoliczności, poczęła prawić, że sama zdecydowała się niespodzianie, choć to było w projekcie, że przesiedzi z miesiąc u siostry, a potem pojedzie do Drezna i Monachium, ponieważ mało zna zagranicę, a zresztą chce przebyć czas jakiś w monachijskiej szkole sztuk pięknych.

Felcia słuchała, albowiem z natury cicha, nie zwykła była nikomu przerywać. Ale Bóg wie, gdzie błądziła myślą? Zdało się, że nic nie słyszy, o nic też nie zapytywała. W końcu rzekła:

— Hubicz chory.

— Ta-ak? — powiedziała Ada, jak gdyby nagle przypominając sobie o jego istnieniu. — Dawno? ciężko? Prawda! nie był kilka tygodni!

— Nie dawno chory, ale źle — stłumionym, drżącym głosem mówiła Felicya, w tej chwili tak blada, że nawet jej szara cera pobielała. — Wiesz, ta okropna krytyka jego dramatu... przytem inne przyczyny. Przyrzekł wrócić do Galicyi, ale czy będzie mógł?...

— Nic nie wiem! Co za krytyka? Od tygodnia nie miałam czasu wziąć pism do ręki — przerwała Ada.

— Więc ten dramat „kaput?...” przeczuwałam!

Gdy zaś pozostała sama i dobrze po północy kończąc pakowanie zwijała swe szkice malarskie, coś przypominało jej owe upomnienia Hubicza, by „być czemś” na świecie.

— Sam niedołęga, mazgaj, zero — powiedziała, biorąc pod uwagę oczywiście tylko to z jego działalności, co rozgłos i pokaz stanowić mogło.

I czuła niemal więcej zadowolenia z nieomylności swych przepowiedni i swego o nim zdania

niż żalu nad niepowodzeniem człowieka, który tyle okazywał jej uznania i serca.

Ale następnie, gdy powiodła wzrokiem po tych pokojach zburzonych, ścianach gołych, kątach pełnych śmieci, podartych listów, pustych flakonów z pachnideł, a zeschłych, połamanych kwiatów, otrząsnęła się nieprzyjemnie i pomyślała: „jednakże, jak się wszystko rwie."

I rada była, że za trzy godziny do wagonu siądzie, rada, jak gdyby wraz z ciemnością nocy miał pierzchnąć wszelki, ogarniający ją mrok i niesmak, a pociąg unosząc w przestrzeń, miał zarazem wprowadzić ją napowrót w świat wrażeń miłych, wesołych, powodzenia, i nowych bałamuctw i ruchu.

Nie rozumiała zaś, że niektórym ludziom zawsze i wszędzie wszystko się rwie. Bo istotnie na świecie rwie się to, co mimo złego połysku, ma trwałość ździebeł słomy, i co wiązane ogniwami mydlanych baniek i kręgów, a w gruncie samo w sobie ma od poczęcia zaród rozkładu, właściwy wszelkim bezcelowym dziełom.

XVII.

Tymczasem ten, którego Ada zwała „niedołęgą," „zerem," leżał w swej schludnej, nizkiej izdebce czwartego piętra, nagle powalony chorobą, której zaród nosił w piersi.

Szczupła, drobna jego postać wydawała się jeszcze wątlejszą niż wprzódy, a twarz mizerna mało odznaczała się od białej pościeli wezgłowia. Oczy tylko świeciły mu gorączkowym blaskiem, zwłaszcza, gdy podrywając się na łożu, przegarniał palcami płowe, bezładne włosy i żywo do ręki brał jakiś dziennik z rozrzuconych obok na stole papierów, lub niewielką książkę, z własnem nazwiskiem na tytułowej karcie.

Wszystko, co krytycy wypisali, miał już dobrze wryte w pamięć, a co sam stworzył, znał przecież jeszcze lepiej. Mimo to jedno i drugie przed oczy kładł, ustami powtarzał, bo głową pojąć nie mógł, duszą uwierzyć.

— Tak wywrócić myśl uczciwą, tak splugawić prawdę, tak w twarz napluć człowiekowi, dlatego jedynie, że się ma moc rzucić ze swej przywłaszczonej wysokości na ofiarę i przywalić ją pięścią, a ludzi ogłuszyć krzykiem, nie! to przechodziło jego pojęcie! Odmawiali mu artystycznie pięknej formy, zaprzeczali talentu, natchnienia, mniejsza z tem, nawet o ten talent mniejsza, choć kto zgoła nie umiał zrozumieć myśli przewodniej, ten snadź zgoła nie dorósł do jej polotu i natężenia. Ale przed czem nie chciał pochylić głowy, co go bolało, to ta przewrotność sądu, a fałszywość intencyi, jaką mu przypisywano, ta małość duszy i nizkość poziomu, na jaki ściągnąć go chciano, przeciw temu się burzył, bo miał głęboką i szczerą wiarę w swoją ideę, a w sercu czuł prawdziwą miłość ludzi i dobra, której nie widział w tych, co deptali.

— Ach, społeczeństwo! — wołał, czoło obejmując dłońmi, — kto ciebie ukochał, ten sto serc włożył w jedno swoje serce i stoma ciebie umiłował po to, byś wszystkie sto serc przeszyło jednem pchnięciem swego szyderstwa i sto ran zadało swoją bezdusznością!...

W parę tygodni zaś, gdy skowronki już dzwoniły w powietrzu, choć ziemia jeszcze była szara, ogołocona i smutna, Hubicz już nie zrywał się gorączkowo; leżał cicho i spokojnie.

Tylko w ciele jego, które wydawało się już tak nikłem, jakoby pozostało jeno dla widomego znaku duszy i jakowegoś jej wyrazu, dusza ta pracowała bezustannie, odtwarzając niemal każdy dzień życia i obrazów mnóstwo; wszystko naraz czuł, widział, sądził, obejmował jednym rzutem, a przeżywał ponownie.

Jeszcze tedy myślał o tej ludzkości, dla której dobra tyle pragnął, a sam jak mógł działał. A następnie myślał o swym bólu ostatnim, co go powalił na ziemię i o ciosie drugim, który padł niemal równocześnie z tamtym.

Myślał więc o tej, którą kochał, a która odwróciła się obojętna i z innym się wiązała. Nie kochała go, ale czemu łudziła i wabiła? Dlaczego lat parę pisywała listy i tumaniła, a potem tak poniewierała? Czemu zdała się mieć serce i duszę, kiedy była nicością, ułudą i próżnią?

— Jak ja jednak w nią wierzyłem! Jak ją ubóstwiałem! — powtarzał niemal tem zdumiony, bo tak marnym wydał mu się teraz proch, w jaki istota jej się rozbiła.

I dalej pytał: czem były jej zachwyty i dobroć dla niego dawniej okazywana? I czemu zło przybiera urok i ponętę piękna, i taką ma na świecie przewagę i bujność, że nawet spokojnych i cichych pociągnie, odurzy, a potem przygniecie i zmiażdży?

W końcu też czuł ogromną w duszy gorycz i zwątpienie. Próżno powtarzał sobie, że tamta nie była warta ani ofiary z uczuć, ani z życia, że nie zasługiwała nawet na żal i wspomnienie. Widział jednak, że to życie przez brak jej traciło wartość i urok, a wiara w nią zniweczona wszelką zachwiała ufność.

Chwilami więc poprostu z niechęcią myślał o tej drugiej, która w dobrej wierze do reszty zdjęła mu z oczu opaskę. Zapominał jak pragnęła ona cios dobrocią złagodzić, jak wytrwale krzepiła w nim ducha nadzieją wielkiej sławy i radości w rodzinnych stronach. Zapominał, że tej serce zdolne było powrócić wiarę w czystość i prawość kobiety, a poświęcenie pełne zaparcia było bez cienia, bez skazy...

— „Sława!" Upragniona, wielka sława, czyż byłaby mi kiedy zaświeciła? — spytał nagle.

Poczem spojrzał na swe koleje niemal od kolebki, zastanawiając się nieraz czego użył w życiu.

I całe życie aż do chwili obecnej przedstawiło mu się, jako borykanie z jakimś kłębem, który był jak kłąb kurzu nieujęty, i co moment oczy zasypywał, a mózg mroczył, ale był ciężki jak skała, i jak ona ugniatał piersi, przyciskał, nogi i ręce przytrzymywał.

Bieda za dzieciństwa, wprost brak chleba. Za młodości bieda i praca; ale już w dziesiątym roku życia praca dla pieniędzy. A potem z każdym rokiem coraz większa gorączka tej pracy i coraz większe jej zaprzedanie — a bieda zawsze ta sama.

Czuł, że jednak mimo tej walki prowadzonej siłą ramion, duszą wzlatał ponad ciemnię pyłu, jaki go pożerał, oczyma widywał jasność słońca, niemniej przeto pył go dławił i zaduszał, a serce zalewała gorycz. „Szczęście," nie wiedział co ono znaczy, nie znał go, a miało ono dla niego całą ponętę niczem nieskażonego uroku.

Żal mu było przez chwilę życia. Wydawało mu się, że odchodzi odepchnięty od drzwi, które dla każdego stoją otworem, i prowadzą do wonnych, świetlistych przestrzeni, a przed nim szorstko się zawarły, nim na progu stanął.

I znów miał uczucie, że ten kłęb, z którym bój toczył na każdym kroku, i tu przed wrotami szczęścia wzbił się u nóg, ogarnął go, oszołomił, i powalił, ale z tej walki już nie dał jak z innych podnieść się zwycięzko.

— Oto mam połamane skrzydła, pióra wydarte, pierś rozszarpaną... Czyż to człowiek *skrzydłami* na ziemi walczyć powinien?

Zdało mu się teraz, że źle był uzbrojonym, że za długo szedł w zapamiętaniu, wcale nie patrząc, jakim orężem obracają inni.

Ale to była krótka chwila. Wnet poczuł, że ani łapą niedźwiedzia, ni krogulczym pazurem, ani jadem żmii walczyćby nie umiał, i nie chciał.

Niemniej przeto powtórzył: „połamane skrzydła i serce wydarte" — lecz powtórzył już tylko, jak skazaniec, który wie, że nic się nie wróci, nic wyroku nie odmieni; albowiem czuł, że krew z ran ciekąca zabrała mu wszelką siłę fizyczną, moc woli, oporu, samą treść życia — wie że umrzeć musi.

Tu się nie łudził. Wobec zaś tej pewności śmierci, dla każdego równo, pomyślał, że jednak *jej* musi być czasem źle w duszy, źle w sercu; że mimo wszystkiego co jej daje świat, musi nieraz uczuwać niepokój, wyrzut, nawet udręczenie, a jeśli dziś je zagłusza, to usłyszy kiedyś.

I tu znów z za postaci zwodniczej czarodziejki, poczęła się przed oczyma jego wychylać druga, drobna, skulona, w prostem, ciemnem odzieniu. A przesuwała się tuż blizko, cicho, po tych kątach — oto tam, koło drzwi, koło stołu, tu u wezgłowia... Słyszał słodycz jej głosu, widział dobroć wejrzenia, czuł łagodność dotknięć i usług, i przywoływał jej, niemal pragnął jako pociechy i ukojenia.

Lecz nagle, wszystkie obrazy poczęły się rozwiewać przed jego oczyma, zasnuwać mgłą, i niknąć wraz z całym światem. A dusza, której polot tak często poskramiał, ciało wprzęgając do czynu, poczęła rozpościerać się i nabierać lekkości a mocy. I, przed chwilą taka zbiedzona, podeptana, gorzka i rozdarta, podnosiła się coraz śmielej, wyżej, ponad nieszczęsny tuman kurzawy, połamane jej skrzydła lot odzyskiwały, czując koniec walki na nizinach, i wzlatywała tak swobodna i jasna, strząsając pył ziemi, strząsając pył...

Hubicz wiedział, że umiera z wycieńczenia, poprostu zgnieciony siłą potworu, z którego czynił sobie ideał, pożarty przez wnętrzności tego olbrzyma, który zwie się „ludzkością," choć nie ma w sobie ludzkości. Nie czuł wszakże nad sobą żalu, a tylko cierpiał za wszystkich, którzy jak on padają i giną, i za nimi oczy podnosił w przestrzeń, do nieba.

A tam świeciły gwiazdy, i z ciemnego tła nocy wzajem patrzyły ku niemu przez kwadrat okna, wysoko nad domami wysunięty.

Hubicz zatapiał wzrok w tę głębię, złotemi punktami nabitą — i bezdeń jej tak poczęła go pociągać, wchłaniać, a zarazem przygarniać i wzywać, niby nieograniczona dobroć i wielka miłość, że zwolna i nad skrzywdzonymi przestawał boleć, czując, że jest gdzieś dla nich miejsce i spokój. A w końcu nie wiedział, że omdlewa ciałem i tężeje, tylko widział światłość z gwiazd płynącą złocistą, szeroką falą — i zdało mu się że w tym wielkim przestworze, w jakim pochód

dziejów się porusza, słychać szept i szmer duchów odlatujących przedwcześnie z ziemi, cicho, w zapomnieniu, a jednak znaczących swą drogę pośród milionów innych.

. . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)



4 Sierpnia 1896 roku.

Bieżącą korespondencyę naszą, jakkolwiek traktującą o ubiorach paryzkich, posyłamy ze stacyi kąpielowej w Baden. Trzy znane są powszechnie zakłady pod tą nazwą: pierwszy w księztwie badeńskiem, ztąd go też zowią Baden Baden, drugi w blizkości Wiednia, trzeci w Szwajcaryi, w kantonie Argowii, niedaleko Zurychu. My przebywamy w tym ostatnim, przyroda tu wspaniała, powietrze żywotne, ale dla mody ubogie napotykamy żniwo.

Praktyczne Szwajcarki postanowiły wygnać stanowczo zbytek ze swej stacyi leczniczej. W parku nawet, zbierają się na muzykę, w alpagowych lub bawełnianych sukniach, a że brak im zupełnie smaku estetycznego, nie umieją ożywić ich wstążką ani żadnem wyszyciem, trzymając się ściśle w obrębie tego, co niezbędnem w odzieży. Do jakiego stopnia posuwają skrupulatność, niech tu posłuży jeden przykład.

Do stacyi kąpielowej, poblizkiej ztąd, przybiegło grono Paryżanek. Ogród zabłysnął łuną, kiedy ukazały się w nim strojne panie w sukniach różnobarwnych, w kapeluszach przeciążonych kwiatami i pękami piór strusich. Ten zbytek wkraczający wstępnym bojem w miejsce zazwyczaj ciche, zaniepokoił poważne Szwajcarki, tem bardziej, że spostrzegły w postaci młodych córek wyraz upokorzenia. Cóż więc czynią? Oto wybierają z pomiędzy siebie delegacyą, stają śmiało wobec pań francuzkich, przekładają grożące niebezpieczeństwo, proszą usilnie, aby córek ich nie narażały na pokusę i nie mąciły domowego ich spokoju.

Paryżanki dalej w skargi na barbarzyństwo Szwajcarek, rade były jednym tchem zawrócić do Vichy lub Royat, ale kąpiele tak skutecznie działały na ojcowską pedogrę, że musiały ustąpić. Odtąd widywano je tylko w podróżnych żakietkach i płaszczykach.

My obznajmieni dobrze z Szwajcaryą, wiedząc, że tu ani znaleźć wątku do korespondencyi, odwiedziliśmy przed wyjazdem z Paryża, kilka magazynów, a między niemi pracownię pani Petit. Znaleźliśmy się tam w chwili, kiedy miała odejść do Biarritz wysyłka kostyumów i sukien, dla dość cznej rodziny. Nie było tam przesadzonych strojów, prostota połączona z wytwornym gustem, cechowała każdy przedmiot.

Przeważały wśród innych suknie z kanwy, bardzo klarownej, z linonu szarego i alpagi. Najstrojniejsza ze wszystkich, przeznaczona na wieczór do kasyna, z szarej, przezroczystej kanwy, na różowem jedwabnem podwleczeniu. U dołu idą dwa wązkie wolanciki. Stanik lekko namarszczony, tak z przodu jak na plecach, naszyty na wykroju wstawką z szarej, sztywnej koronki (dentelle de Flandre).

Po obu stronach wstawki idzie wązka ale rzęsista ruszka z podwójnego muszlinu, jedwabnego, w szarym kolorze. Garnirunek ten odwrócony w górze stanika tworzy nie wielki wyłożony kołnierzyk. Rękawy wązkie, przybrane u ramienia małą buffą fantastycznie ułożoną, na to spadają po dwie klapki ze wstawki koronkowej, objętej ruszką. Wzdłuż rękawa przechodzi takaż wstawka i okrąża rękę w około.

Druga suknia zarówno wieczorowa z linonu srebrno popielatego, na różowem także podwleczeniu. Wkoło spódnicy ciągnie się szlak inkrustowany z grubej koronki flamandzkiej, w rozłożyste gałęzie, szlak ten zwraca się do przodu po obu stronach, zwężony dochodzi do pasa. Stanik przybrany takąż inkrustowaną koronką, otwarty, na plastronie z białego jedwabnego muszlinu. Pasek do tego różowy plisowany, wązki na plecach, rozszerzony z lewego boku, spięty na dwie rozety. Rękawy wązkie, w górze buffy inkrustowane koronką, przepięte różowemi kokardami.

Trzeci kostyum z alpagi szarej połyskującej. Spódnica bez garnirunku. Stanik bardzo oryginalny, plecy gładkie, nieodcięte od spódnicy, po bokach, przody tworzą krótkie *bolero*, mocno otwarte, z odwiniętemi klapkami. Pod spód idzie szmizetka z białego jedwabnego muszlinu cała plisowana w zakładki, oprócz tego mocno namarszczona. U szyi fryzka także plisowana, odwrócona do góry. Pas czarny, atłasowy, udrapowany, przez plecy przechodzi wązko, od boków do przodu bardzo się rozszerza, z lewego boku zachodzi w ząb na stanik, tu spina się ukośno na dwie czarne atłasowe rozety. Od przodów *bolera*, odwinięte małe wyłogi, naszyte u brzegu paskiem jedwabnego muszlinu, mocno zahaftowanym.

Czwarta suknia na koncert lub przechadzkę. Spódniczka z szarego linonu ażurowego, na takiejże fularowej spódniczce. Stanik z linonu w kratkę blado niebieską jedwabną. Plecy marszczone, przody mocno nabufowane, spięte na lewym boku. U nich odwinięte wyłogi, ogarnirowane dwa razy koronką wązką na palec. Kołnierz blado niebieski podniesiony w górę, takiż sam pasek, od przodu do lewego boku wypuszczony szeroko na połowę stanika. Rękawy wązkie; od ramienia upięte na nich koki i wolanty objęte wązką koroneczką.

Takie rękawy, wcale nie rozniesiste, są niejako przejściem do płaskich, zmianę tę zapowiadają na zimę. Co zaś do pasów, jakie opisaliśmy, wązkich na plecach, zachodzących z lewego boku na stanik, spiętych ukośno na rozety, stanowią one prawdziwą nowość tegoroczną.

Staniki czyli szmizetki odmienne od spódniczek dotąd bardzo używane. Moda to wygodna, ale tak dziś upowszechniona, że jak mówią wkrótce ustąpić musi. Jesienne kostyumy w formie polonezek coraz się częściej pojawiają. Stanik u nich połączony ze spódnicą, tak z przodu jak na plecach.

Spódnica bardzo szeroka, bez garnirunku ani żadnego podpięcia. Koronka ułożona na plecach tworzy małe bolero, zaokrąglone z przodu, połączone u szyi wielką kokardą z białego jedwabnego muszlinu, z dość długimi końcami.

Dla młodych panienek do Biarritz, pani Petit przygotowała bardzo ładne suknie z białego angielskiego muszlinu, z dwoma haftowanemi wolancikami. Staniki u nich przybrane haftowaną wstawką. Rękawy wązkie, od ramion spadają wolanty przepinane rozetami ze wstążki kolorowej, takiż pasek podniesiony z boku, dopełnia świeżego ubrania.

Na rano widzimy kostyumy z białej serży, ozdobione czarną aksamitką, zarówno jak kostyumy z białej flanelki, złożone ze spódniczki i żakiecika, szamerowanego czarną, jedwabną pletnią.

W miejsce jedwabnych spódniczek pod suknie, przyjęte dziś spódniczki z białej alpagi, z dwoma u dołu wolancikami.

W kapeluszach i toczkach tę dziś spostrzegamy odmianę, że kokardy ze wstążek, tiulu i muszlinu jedwabnego, zastępują kokami z czarnego aksamitu.

Seweryna Duchińska.

Z badań psychologicznych.

Dosyć upowszechnionem jest mniemanie, że zwierzęta pozbawione są nietylko uczuć, ale nawet władzy myślenia. Wyznawcy tego przekonania wobec jawnych dowodów intelligencyi zwierzęcia takiego jak pies, nie mają lepszego argumentu, jak przypisanie wszystkich objawów jego pojętności tak nazwanemu instynktowi. Ten wyraz jednak nie rozwiązuje wcale sporu.

Tymczasem jeżeli w zasadzie przyznamy jakikolwiek stopień władzy myślenia niektórym zwierzętom, którym najtrudniej byłoby zupełnie tego daru odmówić, już tem samem musimy uznać go i u innych wszelkich tworów świata zwierzęcego. Doskonałość organizmu jednych, upośledzenie innych, nie rozstrzyga jednak kwestyi na zupełną niekorzyść tych ostatnich. Może ich inteligencya być niższą, ale odmówić nawet najniższym daru myślenia, poznania, rozróżniania, nie można bez narażenia się na zarzut niekonsekwencyi. Jeśli mamy się spierać o wyrazy, będziemy tylko tracić czas nadaremnie. Niechajże więc nazywa sobie ktoś instynktem zwierząt, to co inni nazywają inteligencyą, ale niechaj przytem przyzna, że objawia się ten instynkt w bardzo wielu kierunkach. Będziemy tedy mieli u zwierząt: instynkt samozachowawczy, instynkt zadosyćuczynienia wymaganiom organizmu, instynkt macierzyństwa, zazdrości i t. p.

Nie obchodzą prawdy dokoła ci jedynie, którzy prosto i jasno wypowiadają swój sposób zapatrywania krótkiem: „zwierzęta myślą i czują;" kto nie może stanąć na gruncie tego pewnika, ten będzie musiał przyznać, że mu jego osobista obserwacya nie dopisała.

Takie przekonanie wypowiada w francuzkim „Revue Scientifique" p. Monod, a na poparcie założenia swego przytacza on spostrzeżenia, które wraz z kolegami swoimi poczynił nad stworzeniami bardzo nizkiej organizacyi, a te stworzenia w danym wypadku dawały dowody bardzo skomplikowanego myślenia i wielkiego poczucia solidarności. Wreszcie lepiej będzie gdy opowiemy to czytelnikom słowami pana Monod, którego świadectwu, złożonemu w poważnem piśmie naukowem, wiarogodności odmawiać nie mamy prawa.

Pewnego dnia, powiada p. Monod, jeden z kolegów przyniósł do laboratoryum fakultetu w Marsylii jaszczurkę. Był to okaz z gatunku Lacerta, ten rodzaj jaszczurek olbrzymich, długich na 30 do 40 centymetrów, a ubarwionych na powierzchni ciała odcieniami wszystkimi kolorów: niebieskiego, złotego i zielonego. W ten gatunek jaszczurki obfituje, jak wiadomo, Francya południowa.

Kiedy nam oddano to zwierzątko do obserwacyi, było ono głodnem zupełnie, bo już od paru dni nie pomyślano o jego pożywieniu. Postanowiłem tedy zaopatrzeć je w pokarm dlań najodpowiedniejszy i zrobiłem zapas wielki drobnych muszek (Periplaneta orientalis), tak obficie okrywających zazwyczaj sklepienia piwnic. Muszki te wpuściłem pod klosz szklany przeznaczony na więzienie schwytanemu płazowi.

Przedewszystkie zauważyliśmy między owadami wielki niepokój, co udowadniało, iż pojmowały one zupełnie obecność nieprzyjaciela i niebezpieczeństwo na jakie były narażone w tem towarzystwie. Zresztą nie było w tem nic dziwnego i każde inne zwierzę, czy owad w podobnych warunkach byłoby się zupełnie tak samo zachowywało. Było to uczucie samozachowawcze, od którego wolne nie są organizacye najniższe, ale niebawem spotkaliśmy się z uczuciami tych owadów o wiele subtelniejszemi, bo zdobyliśmy niewątpliwe dowody obmyślanego unikania niebezpieczeństwa, a nawet uczucia wzajemnej litości między towarzyszami niedoli, które rodziło poświęcenie, a które przy wykonaniu wymagało odwagi.

Aby nasza jaszczurka nie cierpiała pragnienia umieściliśmy pod kloszem porcelanowe naczynie z wodą. Otóż wśród nieustającej ucieczki muszek przed jaszczurką w obrębie tego więzienia szklanego, zdarzało się bardzo często, że jedna z nich wpadała w naczynie z wodą. Była to pozycya najniebezpieczniejsza, bo jaszczurka zaglądała bardzo często do napoju, i owad przewrócony na grzbiet na powierzchni wody był już w tej chwili bez żadnej obrony.

Zrozumiały to doskonale biedne ofiary, i jak tylko której z nich trafiło się podobne nieszczęście, spieszyło ich kilka na pomoc i pomimo wyraźnego niepokoju i trwogi ratowały towarzyszkę. Pewnego dnia zdarzyło się coś podobnego zwyczajnej musze pokojowej, którą wpuściliśmy pod klosz na użytek jaszczurki. Przybiegło natychmiast kilkanaście muszek, ale spostrzegły odrazu, że to nie jest ich rodaczka, do niesienia pomocy istocie obcej nie poczuły się wcale, i pozostawiły ją tam własnemu przemysłowi.

Alboż to wreszcie nie ma w życiu innych zwierząt dowodów ich myślenia równie konkludujących jak te, które wymieniliśmy? Ekonomia pracy u pszczół, pomoc jaką niosą sobie wzajemnie mieszkanki jednego mrowiska, walki staczane między gatunkami czarnymi i czerwonymi, i tysiączne inne epizody opowiedziane przez tak wybornego spostrzegacza jakim był Forel, stwierdzają to w zupełności.

Tak jest, kończy pan Monod, w życiu zwierząt wyższej inteligencyi, spotykamy się z uczuciami gniewu, miłości, przyjaźni, nienawiści, poświęcenia, odwagi; bywa tam nieufność, zazdrość, przebiegłość, obawa, zawziętość, a nawet politowanie.

K.

TO I OWO.

✱ Wegetaryanizm w stosunku do cywilizacyi próbuje oznaczyć pan Verrier w swoim memoryale, złożonym Towarzystwu etnograficznemu, a w szczególności wyprowadzić jakieś wnioski decydujące w kwestyi tych wpływów, jakie na rozwój moralny i intellektualny narodów wywierają pokarmy roślinne lub mięsne.

Pan Verrier jest stanowczym stronnikiem pokarmów mięsnych, które w właściwym, rozumie się, stosunku uważa za nieodbicie potrzebne ludzkiemu organizmowi.

Jako przykłady pogwałcenia tego prawa wymienia Irlandczyków żywiących się przeważnie kartoflami i wyprowadza ztąd przyczynę ich niższości intellektualnej i fizycznej w porównaniu z Anglikami.

O moralnej nie wspomina; pokazuje się z tego, że mu to porównanie jest niepotrzebne.

Mówi też i o Indusach, którzy wedle niego nie byliby z pewnością przyszli do dzisiejszego zwyrodnienia, gdyby się byli w jakiejś przynajmniej części żywili mięsem.

Nagły postęp Japonii na drodze cywilizacyi jest dla pana Verrier dowodem wielce wymownym, zchodzi się bowiem w datach era tego postępu z ogłoszeniem prawa o wolności handlu mięsem na całym Archipelagu.

Z drugiej strony zaznacza ten autor, że pokarmy wyłącznie mięsne sprowadzają nieuchronny artretyzm dziedziczny, a ten znowu uznany jest przez naukę lekarską jako jedna z najważniejszych przyczyn niepłodności narodów, i tem samem stopniowego wyludniania się niektórych krajów.

Przeciwko tym wywodom występuje inny uczony francuzki pan Leon de Rosny. Zaprzecza on stanowczo pierwszeństwom i przewagom intellektualnym i moralnym narodów żywiących się mięsem nad takimi, które używają tylko pokarmów roślinnych, a tę okoliczność, że niektóre ludy roślinożerne dostały się pod panowanie mięsożernych, odnosi jedynie do wyższej chwilowo muskulatury tych ostatnich.

✱ Kongresowi medycyny sądowej zebranemu w Londynie przedstawił pan Forbes Winslow w roku bieżącym swoje cyfry dotyczące pobudek samobójstwa, które on zebrał z wyprowadzonych śledztw w 7,190 wypadkach zaszłych na ziemi Angielskiej w ostatnich czasach.

Otóż przyczyną targnięcia się na własne życie były:

	u mężczyzn	u kobiet
Nędza	905	511
Troski domowe	721	524
Utrata majątku	322	233
Pijaństwo i nadużycia	287	208
Przegrana	155	141
Ambicya zawiedziona	122	410
Sprawy miłosne	97	157
Wygórowana miłość własna	53	53
Wyrzuty sumienia	49	37
Fanatyzm	16	1
Mizantropia	3	3
Przyczyny niewykryte	1,319	661.

Jako charakterystyczne uznał w tych cyfrach kongres, że dwie z tych rubryk a mianowicie: ambicyi zawiedzionej i wygórowanej miłości własnej, które właściwie mówiąc dałyby się tłómaczyć jako objawy tego samego stanu psychicznego — że te rubryki wykazują śmierć blizko trzy razy większej liczby kobiet, niż mężczyzn.

Miałżeby istotnie mężczyzna w naszej epoce ustępować kobiecie na punkcie aspiracyj życiowych?

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Іюля 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**